



CIASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77

PRZYGODY MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

Z dziennika Kazia przepisała M. J. Zaleska.

(Dokończenie).

— Czy to pałac Aladyna? — szepnęła Ewel-
ka, która niedawno czytała powiastki z tysią-

czytało w różnych baśniach o zaczarowanych
podziemiach, o kryształowych gmachach i in-



Wyjazd ze Szmeksu.

ca i jednej nocy; ale i nam mimowoli przy-
chodziło na myśl wszystko to, co się nieraz

nych podobnych nadzwyczajnościach. Posadza-
ka gładka i lśniąca, jak zwierciadło, to nie in-

nego, tylko jedna olbrzymia tafla z lodu, jakby jezioro zastygłe. Na tej podstawie wznoszą się słupy także z lodu, ale rzecz dziwna, nie są to bryły jednostajne, tylko powłoka cieniutka, jak szkło, tworzy jakąś ogromną rurę, wewnątrz próżną, a tak przezrystą, lekką, powiewną, jakby co chwila prysnąć miała za najłżejszym podmuchem. Słupy te od góry do dołu pokryte są misterną rzeźbą najpysniejszych ozdób, które gotyką architekturę przypominają. W niektórych miejscach szklista powłoka jest popękana i poszczerbiona, tak, że można wewnątrz tej wydrążonej kolumny oświetlić magnetyzowem światłem. Toż dopiero pysznie wygląda! Doprawdy, niby pałac Aladyna, o kryształowych ścianach, drogami kamieniami wysadzanych, bo i u stropu i po bokach, wśród głazów zwieszają się sople lodowe i błyszczą, i migocą przy świetle wszystkimi barwami tęczy. Opowiadano nam, że w parę miesięcy po odkryciu tej wspaniałej groty, urządzono tu w sali lodowej świetną ślizgawkę, na którą zjechało mnóstwo osób z miast okolicznych. Ale nie koniec na tym; przewodnik wskazał nam wązkie przejście, które prowadzi wygodnymi wschodami na drugie, niższe piętro groty. Idąc za nim wzdłuż wysokości, prostopadłej ściany, spostrzegliśmy z niewymownem podziwieniem, że mieliśmy przed sobą przecięcie poprzeczne podstawy, której powierzchnia tworzy ową posadzkę w lodowej sali.

Ta olbrzymia masa lodu odstąpiła w tym miejscu od skały, widać też doskonale, jak dziwnie jest utworzona z warstw, które leżą jedno na drugim, jak gdyby woda ta zastygała raz po raz, i coraz nowe pokłady przybierały do dawniejszych. Podstawa ta, z jednej bryły lodu złożona, dochodzi 60-ciu stóp grubości. Na takim grubym lodzie można się doprawdy najbezpieczniej ślizgać; z pewnością się nie załamie.

Na niższym piętrze nowe oglądaliśmy cuda. Tu już nie słupy, ale najdziwniejsze budowle z lodu przytykają do kamiennych ścian podziemia. W jednym miejscu jest coś zupełnie podobnego do wspaniałego wodospadu; zdaje się, że jakaś rozhukana woda w gwałtownym biegu nagle zastygła i skamieniała. To znów altana ozdobna, lub namiot jakiś

fantastyczny wygląda, jakby z białej fałdистой materii utkany. Wszędzie na ścianach zwieszają się draperye, w zagłębieniach stoją posągi, najdziwniejszych kształtów, a miliony kryształów migocą i połyska wśród ciemnych głazów.

Dziwnie to było wrażenie, gdyśmy z tego chłodnego podziemia, z tego pałacu lodowego, wydostali się znów na światło dzienne, gdy oczy nasze nawykłe przez tych parę godzin do widoku białych gmachów kryształowych, do migotania latarni wśród nocnych cieni, napotkały znów wesołą zieloność łąk, oświetloną jasnymi promieniami letniego słońca. Ewelka nas trochę przestraszu nabawiła, bo śpiesznie biegnąc po lodowej posadzce, poślizgnęła się i przewróciła przy samym słupie. Nie uderzyła się jednak wcale, ale panna Walerya za nic jej już nie chciała puścić samej i musiała się dać za rękę prowadzić, aż pokiśmy nie wyszli z groty. Zabawiliśmy jeszcze z godzinę w gospodzie, górale nasi tymczasem napaśli konie, ojciec kupił album z rysunkami, które teraz wydawały się nam daleko mniej piękne od rzeczywistości i podążyliśmy na noc znowu do Popradu. W Popradzie jest już kolej żelazna; dawno nie słyszany gwizd lokomotywy dosyć nieprzyjemnie nam w ucho wpadał. Ja przynajmniej sto razy wolę podróżować tym pysznym góralskim wózkiem, niż koleją i Jadwisia zupełnie się ze mną zgadza. Przez całą drogę rozmawialiśmy tylko o lodowej grocie, a moja siostrzyczka, która ze wszystkiego zawsze skorzysta, żeby się czegoś nowego nauczyć, zaczęła się rozpytywać pana profesora, jakim sposobem ten lód może się tam utrzymać przez całe lato, kiedy taki upał na dworze?

— Zdaje się, powiedział profesor, że chłód utrzymuje się w tym podziemiu tak zupełnie, jak w lodowniach, gdzie przez lato przechowują się wielkie bryły lodu, narąbanego wśród zimy. Ta ogromna pieczara, wyżłobiona zapewne w skale w czasach niezmiernie dawnych, musiała być niegdyś szczelnie ze wszystkich stron zamknięta, i tylko woda przesiąkała do niej kropelkami przez drobne szparki, podmywając i wygryzając głazy nieustannie. Tym sposobem powstała w końcu wązka szczelina, zwrócona na północ, która dziś je-

szcze służy za wejście do podziemia. Gdy nastały mrozy zimowe, chłodne powietrze wcisnęło się do środka i pierwsza warstwa wody zastygła w głębi pieczary. Ale i latem lód ten nie stopniał, bo chłodne powietrze jest cięższe, więc się nie mogło wzniesć w górę i nie dopuszczało napływu zewnętrznych, cieplejszych podmuchów. Woda tymczasem przesiąkała ciągle i zastygała, osadzając się warstwami coraz wyżej i wyżej, aż po wielu latach, a może i wiekach wielu, utworzyła się ta olbrzymia ściana, którą widzieliśmy w przecięciu, schodząc z jednego piętra groty na drugie. Ale wspaniałe słupy lodowe i inne ozdoby, musiały powstawać z pary, zamrożonej w powietrzu. Mój Boże! i nikt się nawet nie domyślał, jakie tam dziwne rzeczy dzieją się pod ziemią, aż póki ten górnik nie zajrzał do tej szczeliny i nie wypalił w nią z pistoletu. Pan profesor opowiadał jeszcze, że takie groty lodowe znajdują się także we Francyi i w Turcyi europejskiej, a żadna podobno nie jest tak wielka i wspaniała, jak Dobszyńska. Jakże to szczęśliwie, że nam się udało taką przesliczną i osobliwą rzecz zobaczyć.

Dziennik mój urosł do bardzo porządných rozmiarów; za to już teraz, po powrocie do Warszawy, nie będę miał o czém pisać, nie będzie też i czasu na to, bo znów trzeba się zabrać do łaciny. To bieda, że człowiek strasznie się tu rozpróżnawał w Zakopanem; cóż dziwnego, kiedy nawet pan profesor powiada, że jak przypomni sobie łacinę, to mu się smutno na sercu robi; a jednak co innego to wykładać łacinę i dwójki zapisywać biednym ludziom, a co innego znów ładować sobie w głowę tę łacinę i myśleć ciągle ze strachem o tych nieszczęsnych dwójkach. Cóż robić; tu zato w górach, przy tych wycieczkach, na tém powietrzu, tyle przybyło sił i energii, że można będzie jakoś i lenistwo pokonać, gdyby mię naprawdę miało opanować.

Jadwisia wiezie z sobą wspaniałą zielnik; układa go bardzo starannie na samym spodzie wielkiego kufra; będzie miała piękną pamiątkę z Zakopanego. Ja miałem ochotę zbierać kamyki, kilka nawet wcale ładnych znalazłem, ale mi jakoś zawsze czasu brakło i nie wiele się tego złożyło. Trzeba to zostawić na drugi rok; ojciec obiecuje, że jak Bóg

da doczekać, znowu spędzimy tu wakacje w Zakopanem. O, żebyż to prędzej do następnego lata!



ŁZY NIEUŻYTECZNE.

zemu ty płaczesz?— O bo,
[mój tato,
Bardzo mi smutno! wybiegl—
[szy w pole,

Dostrzegłem zdala pod wiejską chatą
Jakieś sieroce nędzne pachole;
Pies przez pustotę nastraszył dziecko,
A ono drżało niby osina.
— O tak, sierotom ciężko na świecie —
Rzekł rozrzuwiony ojciec do syna;
— Słusznie ci spływa po twarzy łezka,
A czyś ku chacie pobiegł Stefanie?
Czyś swawolnego odpędził pieska?
Czyś oddał dziecku własne śniadanie?
— Ach nie, mój tato, jam do dom wrócił.
— Toś serce ojca mocno zasmucił,
Bo łzy współczucia nie wiele warte;
Gdy dobrym czynem nie są poparte! —

X.

MARCIN WADOWITA.

Do rzędu sławnych i cnotliwych mężów, którymi kraj nasz słusznie pochwilić się może, należy Marcin Wadowita. Zostawił on młodzieży polskiej piękny przykład samodzielnej, wytrwałej pracy i stwierdził, że cierpienie i przeciwności, są najskuteczniejszym środkiem wychowawczym w życiu człowieka.

Urodził się w mieście Wadowicach r. 1567 z ubogich włościan. Dziecinne lata spędził w opuszczeniu i niedostatku, a wypadek, który wygnał go z pod rodzinnej strzechy, nadał inny kierunek jego życiu. W młodości swojej, podobnie jak Sykstus V Papież, pasał trzodę. Raz zdarzyło się, że wilk porwał mu wieprza, który był odbiegł od stada; Marcin na myśl ciężkiej kary, jakaby go była niechybnie spotkała za powrotem do domu, uszedł do Krakowa.

Nieraz, jak sam potem wspominał, jeszcze za tych swoich chłopięcych lat, wśród gajów zielonych rozmyślał o innym świecie, tęsknił za nauką, której wartość przeczuwał.

Ciężkie były pierwsze chwile pobytu biednego chłopca w mieście. Najpierw z garnuszkim, jako pauper szkolny chodził po żebraniu, wałęsając się z miejsca na miejsce, przymierając głodu; a jednak wszystkie jego naówczas pragnienia streszczały się w jednym czarodziejskim słowie: „Nauka”—sam też początkowo był swoim nauczycielem. Opatrzność otoczyła go w tych trudnych przejściach miłosierdziem ludzi szlachetnych i młody Marcin został przyjęty z łaski do szkoły. Tutaj zdolności jego rozwijały się szybko; pilny, roztropny, wśród grona towarzyszy swoich wyróżniał się wzorowem i moralnym zachowaniem się.

Ukończywszy z chlubą uniwersytet krakowski, został mianowany tamże profesorem teologii, a w końcu po wielu zaszczytach, doszedł do stopnia rektora akademii Jagiellońskiej. Uczniowie otaczali Wadowitę wielką miłością i poważaniem, a cnoty jego i nauka znane były szeroko po świecie; w Rzymie, gdzie był potrzykroć na dysputach teologicznych, zadziwiał wszystkich gruntownością swojej wiedzy.

Ciekawy szczegół, odnoszący się właśnie do chwili wyniesienia go na rektora akademii, podają współcześni. Otóż, kiedy pierwszy raz przywdział na siebie togę bramowaną, koledzy i profesorowie, którzy nieraz przedtem, z powodu jego urodzenia, pogardliwie i z niechęcią patrzyli na niego, zmuszeni byli wówczas, jako zwierzchnikowi swemu, głęboki mu oddać pokłon. Wadowita na widok tych oznak kornego uszanowania rozśmiał się łagodnie, a ująwszy za brzeg szaty honorowej, wyrzekł żartobliwie.

„Dziękuję ci aksamicie, kłaniają się Wadowicie.“

Dowcipne te wyrazy przeszły w przysłowie, które często bywa powtarzane.

W magistracie wadowickim można po dzień oglądać portret tego szlachetnego męża; miasto szczyci się nim i wielbi go, jako swego dobrodzieja, który szpital i szkołę znacznymi funduszami uposażył. Pamiętając

na ciężkie lata swojej młodości, przygarniał do siebie z serdecznem ciepłem uczącą się młodzież i wspierał hojnie z oszczędności własnego mienia. Kochany i poważany powszechnie, umarł 28 Stycznia 1641, przeżywszy lat 74.

Walerya Stacherska.

DOM SIEROT.

Czy pomyślelicie kiedy, mili czytelnicy, układając się do snu w wygodnym, miękkim łóżeczku, że są na świecie takie biedne, opuszczone dzieci, które wieczorem nie mają gdzie głowy przytulić, ale blakają się po ulicach o chłódzie i głodzie, zaglądają z westchnieniem w oświetlone szyby mieszkań, aż w końcu znużone osuwają się na twardym bruku i ciężkim snem zasypiają? Wy nieraz zapewne, gdy wam się kleją powieki, zaledwie macie chwilę czasu, by krótką modlitewką podziękować Bogu za te wszystkie dobrodziejstwa, któremi was obsypuje, bo dla was ta smaczna wieczerza i ciepła kołderka i czuły uścisk matki na dobranoc, to wszystko są rzeczy powszednie, zwyczajne; nie przyszło wam może nigdy do głowy, że mogłoby wam tego zabraknąć. A jednak niejedno sierocone dziecko, gdyby się nagle na waszem miejscu znalazło, sądziłoby, że jest w raju, lub co najmniej, że osiągnęło najwyższe szczęście na ziemi.

Posłuchajcie więc, wy, szczęśliwe dzieci, którym na niczem nie zbywa, i dowiedźcie się, co to jest nędza i niedostatek, ażebyście lepiej cenić umiały to wszystko, co posiadacie. Przed laty dwunastu, w Paryżu, w słotny wieczór jesienny, zacny kapłan, ksiądz Rousel, powracał do swojego mieszkania, gdy na zakręcie ulicy doszło go stłumione łkanie, a zbliżywszy się, spostrzegł małego chłopaka, zziębniętego, zmokłego, który siedząc na chodniku, wsparty o mur kamienicy, rzewnem zalewał się łzami.

— Co to jest, zapytał ksiądz, litością zdjęty, co ty tu robisz o tak spóźnionej godzinie?

— Strasznie mi się jeść chce, odpowiedział chłopiec, i zimno mi bardzo.

— Czemuż nie idziesz do domu?

— Ja nie mam domu, mówił mały nędzarz, rodzice pomarli, a gospodarz kazał mi pójść precz, więc od tej pory chodzę po ulicach, czasem dostanę jakieś jedzenie od straganiarek, czasem pozwolą mi się przespać w jakiej bramie, lub na wschodach, ale dziś zjadłem tylko kawałek suchego chleba, przemokłem cały i muszę tu noc przebyć na chodniku, bo nigdzie lepszego miejsca znaleźć nie mogłem.

Ksiądz Roussel nie pytał więcej, kazał chłopcu iść za sobą, a gdy przybył z nim do skromnego swego mieszkania, osuszył go, nakarmił i dał mu wygodne poślanie na sofce. Już biedny sierota nie odszedł więcej na ulicę; zacny kapłan zajął się jego nauką, przygotował go do pierwszej komunii, a że sam nie był bogaty, więc u osób miłosiernych wyprosił dla niego trochę bielizny i odzienia. Pewnego dnia drugi chłopak dwunastoletni, obdarty, wynędzniały, sam już zapukał do drzwi księdza; zapewne dowiedział się, że już tam jednego podobnego biedaka przytulono. Wkrótce do tych dwóch przybył takież sam trzeci nieszczęśliwy włóczęga, a następnie kilku innych; biedacy garnęli się z ufnością do tego opiekuna, który sam ubogi, umiał jednak obmyślić środki utrzymania ich przy sobie. Chłopcy ci po większej części nie umieli nawet pacierza, niektórzy nie wiedzieli, czy kiedykolwiek byli chrzczeni, ksiądz Roussel każdym troskliwie się zajmował, każdego wyuczył czytania, katechizmu i przygotował do pierwszej komunii. Chodził też od domu do domu i zbierał jałmużny, które wystarczały na ich utrzymanie, bo miłosierdzie chrześcijańskie ma to do siebie, że zawsze przy pomocy Bożej znajdzie środki potrzebne do przeprowadzenia swoich celów. Pewien bogaty Anglik, dowiedziawszy się o dobrym uczynku księdza, przyszedł do niego umyślnie, żeby się z tak zacnym człowiekiem zapoznać i darował mu przeszliczny, rozległy park, leżący w Auteuil, jednem z przedmieści Paryża. Ksiądz Roussel wybudował tam z uzbieranych składek dom wygodny, gdzie mógł pomieścić wszystkie swoje sieroty. I wkrótce zebrało się trzystu chłopaków, a pomimo to cisnęli się coraz nowi, tak, że ksiądz Roussel musiał postanowić nie przyjmować ich więcej, bo i tych ledwo mógł pomieścić. Ale nie łatwo było do-

trzymać takiego postanowienia. Raz naprzykład w nocy, wśród zimy, odzywa się dzwonek, otwierają się drzwi, na progu staje mały chłopak w jednej koszuli, zsiniały od zimna; jestże sposób go nie przyjąć? Inną razą policyant przyprowadza małego biedaka wynędzniałego, obdartego, opowiadając, jak nieszczęśliwe to dziecię zeszłej nocy zbliżyło się do niego, i przemówiło głosem błagalnym:

— Panie policyancie, weź mnie pan do cyrkułu na noc.

— A cóżes to ty ukradł, malcze? zapytał stójkowy.

— Ja nic nie ukradłem, panie policyancie, ja nie jestem złodziejem, ale mi strasznie zimno i jeśli mi się chce bardzo, a tam podobno w cyrkule ogień się pali i dają więźniom jedzenie.

Policyant się rozrzewnił nad tą ciężką niedolą i przyjął chłopca na noc do cyrkułu, a nazajutrz odprowadził go do Auteuil, do księdza Roussela, który nie miał serca i przed tym drzwiami zamknąć, chociaż wychowañcy jego byli w komplecie. Ksiądz Roussel nie mógł już teraz sam wystarczyć w prowadzeniu tak liczного zakładu, przybrał więc sobie do pomocy trzech innych księży i czterech kleryków, dzieci podzielono na oddziały; nowo przybyli przez pierwsze sześć miesięcy uczą się czytania, pisania, rachunków i katechizmu, potem przystępują do pierwszej komunii i przechodzą do warsztatów, gdzie sposobią się do różnych rzemiosł, szewstwa, krawiectwa, introligatorstwa; nakoniec ksiądz Roussel założył u siebie drukarnią, gdzie się drukuje francuzki Przyjaciół Dzieci, *L'ami des enfants*, i drugie Pismo dla młodzieży. Ale założenie tych warsztatów, téj drukarni, było niezmiernie kosztowne, wyczerpały się fundusze składkowe i w końcu przyszło do tego, że nie było za co utrzymać wszystkich wychowañców. Ksiądz Roussel z bólem serca wybrał z nich czterdziestu takich, którzy nie byli zupełnemi sierotami, mając ojca lub matkę, jakkolwiek bardzo ubogich, i tych postanowił wydalić. Odeszli więc, ale w domu zostali taką nędzę, że wszyscy na drugi dzień powrócili i ze łzami pukali do drzwi zakładu, błagając, żeby ich nie wypędzano. Wyszedł ksiądz Roussel i zapłakał razem z nimi, bo

nie mógł ich przyjąć, wystarczało mu już za ledwie na utrzymanie reszty biedaków, którzy nie mieli nikogo na świecie, najuboższej nawet rodziny.

A w chwili, gdy się to działo, stał się prawdziwy cud Opatrzności. Pewien pan, piszący do dzienników, przechodził obok zakładu i zatrzymał się przez ciekawość, widząc niezwykle jakieś zgromadzenie przed jego drzwiami. Dowiedział się o co idzie i oto nazajutrz w jednym z dzienników najbardziej rozpowszechnionych we Francyi, zwanym Figaro, ukazał się artykuł dziwnie rozrzewniający o niedostatku, który dotknął dobroczynny zakład księdza Roussela. Dziennikarz ów wzywał do składek wszystkich ludzi dobrej woli, przedstawiając, jak świętym było obowiązkiem dla całego narodu francuzkiego podtrzymanie przedsięwzięcia zacnego kapłana. Artykuł ten trafił do serc szlachetnych i miłosiernych, posypały się hojne dary, w przeciągu jednego dnia złożono 300,000 franków z górą, a ksiądz Roussel, nietylko, że mógł przyjąć napowrót owych czterdziestu biednych wygnańców, ale rozszerzył jeszcze swój zakład i już dziś nie obawia się, ażeby mu zabrakło funduszów. Wielu z jego wychowanców ukończyło już naukę rzemiosł i pracuje na własną rękę w rozmaitych fabrykach. Niektórzy dorobili się nawet własnych warsztatów, a chociaż zacny założyciel nie wymaga od nich żadnej wdzięczności, nie było jednak przykładu, ażeby taki, który miał lepszy zarobek, nie przyniósł części zapracowanych pieniędzy księdzu Rousselowi, dla zasilenia funduszów zakładu.

Jeden z rodaków naszych, który będąc w Paryżu zwiedził ów zakład chłopców w Auteuil i poznał księdza Roussela, opowiada, że zacny ten kapłan, mający już blisko sześćdziesiąt lat, jest wesół, żartobliwy, nigdy się nie chmurzy ani marszczy, zawsze z uśmiechem przemawia do swoich wychowanców, którzy też bez obawy, z największą ufnością i swobodą zbliżają się do niego, chociaż go niezmiernie szanują i uwielbiają. Od lat dwunastu, to jest od powstania zakładu, już przeszło trzy tysiące sierot wyszło z niego, mając zapewniony sposób do życia. Cóżby się stało z tymi wszystkimi ludźmi, gdyby ich dobro-

czynna ręka nie otoczyła taką troskliwą opieką, gdyby tylu tych nędznych, opuszczonych włóczęgów wzrastało dalej, nie umiejąc pacytować, nie znając żadnych zasad moralności? Iluż z nich ciemnota i nędza popchnęłaby do złego, iluż z tych uczciwych rzemieślników wyszłoby było na złodzieiów i oszustów! Ksiądz Roussel nie tylko od głodu i nędzy, ale także i od występku ich zachował swym miłosierdziem. Jakaż cześć, jakież uwielbienie mu się należało!

Stara baśń o Waligórze i Wyrwidąbie.

Dawno, bardzo dawno, żyło dwóch braci bliźniaków, których matka umarła zaraz po ich urodzeniu. Biedne sierotki o mało z głodu nie zginęły, ale, ponieważ ojciec ich był myśliwym i mieszkał w lesie, więc jednego z owych chłopczków wykarmiła wileczyca, i ten nazywał się Waligóra, drugiego niedźwiedzi-ca i tego nazwano Wyrwidąb.

A niedarmo się tak nazywali; obaj byli nadzwyczajnie silni, pierwszy góry walił, jak drobne kamyczki, a drugi wyrwał najpotężniejsze dęby z korzeniami, jak żdźbła zboża. Od dzieciństwa kochali się niezmiernie i nigdy się z sobą nie rozstawali, a gdy urosli, wybrali się razem na wędrowkę po świecie. I dostali się do puszczy ogromnej, ciemnej; szli przez tę puszczy dzień jeden i drugi, aż dnia trzeciego musieli się zatrzymać, bo wielka góra zaparła drogę przed nimi. Wyrwidąb smutnie powiada tedy do brata:

— Co my teraz zrobimy, braciszku? musimy powracać, a jeszcześmy tak niewiele świata widzieli.

— Nie turbuj się, braciszku, odpowiedział Waligóra, ja tu sobie prędko z tą górą poradzę i drogę mieć będziem wolną.

Podparł górę plecami, przycisnął, i góra z wielkim trzaskiem się przewróciła. Odsunął ją potem na pół mili i poszli dalej. Znowu czas jakiś szli bez przeszkody, aż w jednym miejscu, gdzie droga była bardzo wązka, ujrzeli przed sobą wielki dąb, stojący po samym środku, tak, że nie mogli przejść w żaden sposób. Ale Wyrwidąb nie namyslał się długo, pochwyił potężny pień drzewa, jak

trawkę i rzucił w rzekę, tuż obok płynącą. Poszli więc dalej i szli znów bardzo długo, aż się pomęczyli, chociaż tak nadzwyczajnie byli silni; więc usiedli sobie pod lasem na odpoczynek. Aż tu patrzą, mały człowieczek pędzi w tę stronę, a tak szybko, że ani zwierzęden, ani ptak nawet nie zdołałby go pewnie dogonić. Zerwali się na nogi, przypatrując się dziwnemu widowisku, aż ten człowieczek zatrzymuje się w swym biegu i staje przed nimi.

— Jak się macie, chłopaki, woła do nich raźnie i wesoło; cóż to, utrudziliście się? jeśli tylko chcecie, ja was w jednej chwili zaniosę, gdzie tylko rozkażecie.

I rozwinął przed nimi piękny kobierzec, zapraszając ich uprzejmie:

— A no, siadajcie razem ze mną.

Wyrwidąb i Waligóra bardzo byli radzi, bo ich już nogi porządnie bolały, więc usiedli wygodnie na kobiercu obok człowieczka, ten klasnął w ręce i polecieli, jakby na skrzydłach, ptaka.

— Aleś ty nie jechał na tym kobiercu, rzekł jeden z braci do człowieczka, gdyś do nas przybiegł. Jakimże sposobem pędziłeś tak szybko?

— Bo ja mam takie czarodziejskie trzewiczki, odrzekł człowieczek; gdy je włożę, tak biegnę, że co krok, to mila, co skoczę, to dwie.

Obu braciom przyszło na myśl, jakby to było wygodnie mieć takie wyborne trzewiczki i dalejże prosić człowieczka, żeby im dał po jednym, a prosili tak pięknie, że ten odmówić nie mógł i podarował im trzewiczki.

Gdy już nie mało świata oblecieli na czarodziejskim kobiercu, człowieczek wysadził ich przed wielkim miastem i dowiedzieli się, że był w tym mieście smok straszny i ogromny, który codziennie pożerał bardzo wielu ludzi. Król panujący w tym kraju, kazał głosić wszędzie, że kto tego smoka zabije, temu da do wyboru jedną z dwóch swoich córek i tron swój przekaże mu w dziedzictwie. Nasi dwaj bracia natychmiast stanęli przed królem, oświadczając mu, że oni podejmują się zabić smoka. Król uradowany kazał im pokazać drogę do jaskini, gdzie się ten straszliwy potwór zwykle ukrywał, gdy już głód swój zaspokoił. Wyrwidąb i Waligóra śmiało tam

wyruszyli, ale jeszcze nie doszli do jaskini, gdy mały człowieczek zjawił się przed nimi.

— Jak się macie, przyjaciele kochani, wiem ja, gdzie wy idziecie; ale posłuchajcie dobrej rady; niech każdy włoży na nogę czarodziejski trzewiczek, bo smok może wyskoczyć tak nagle, że nawet ręką wam nie da machnąć.

Bracia wiedzieli, że im człowieczek ów sprzyja, więc posłuchali mądrzej rady i dobrze się stało. Wyrwidąb wyrwał z korzeniem ogromnego dęba, podniósł go z zamachem w górę i stanął przed jamą, czekając aż smok z niej łeb wystawi, bo chciał go jednym potężnym ciosem zabić. Waligóra zaszedł z tyłu i wsparłszy się o skałę, w której się jaskinia ukrywała, zaczął nią trząść, jak snopem zboża.

Ale smok tak nagle wyskoczył ze swej kryjówki, że Wyrwidąb stracił głowę, przestraszył się, zapomniał nawet o pniu, który w ręku trzymał i byłby go niezawodnie smok pochwycił, gdyby nie miał trzewiczka czarodziejskiego na nodze. Odskoczył więc w mgnieniu oka na dwie mile, a smok, nie mogąc go dogonić, rzuca się na Waligórę. A ten także ze strachu tak się zapomniał, że podniósł ogromną skałę w górę i upuścił ją na ziemię, a skała przycisnęła ogon potwora. Byłby smok pożarł pewnie Waligórę, gdyby ten nie był szybko odskoczył na dwie mile, w tę samą stronę, co brat; spotkali się tedy i zaczęli się naradzać.

— Idźmy teraz, braciszku, śmiało, powiada Waligóra. Smok się już nie poruszy z miejsca, uderzysz go więc po łbie twoim dębem, a ja go górą przywalę.

Poszli więc teraz odważnie, jeden górę niósł w rękach, a drugi wywijał ogromnym drzewem po nad głowę. Smok zawył strasznie, głośniej niż stado wilków, widząc zbliżających się swoich napastników, chciał się na nich rzucić, a tu się ruszyć nie może, bo ogon ma przycisnięty do ziemi. Wyrwidąb przyskoczył do niego i jak go palnął z rozmachem swoim pniem, roztrzaskał mu łeb od jednego razu, a brat tymczasem porwał górę i całe cielsko potwora przygniótł i przywalił.

Król czekał na nich z wielką paradą, dał każdemu jedną córkę za żonę, po śmierci króla

podzielili się zgodnie jego królestwem i żyli bardzo długo i bardzo szczęśliwie.

Czyż potrzebujemy wam mówić, mili czytelnicy, że w całym tém opowiadaniu niema ani śladu prawdy? Wy dobrze wiecie, że nigdy, w najdawniejszych nawet czasach, nie było na świecie takiego Waligóry, ani Wyrwidęba, jest to sobie po prostu baśń, która jednak zasługuje na to, żebyście ją znali, bo jest niezmiernie starożytna. Od niepamiętnych czasów to podanie o dwóch braciach, wielkich siłaczach, krążyło pomiędzy naszym ludem. Piękna jest ta baśń dla tego, że wystawia dwóch braci, którzy żyją z sobą zgodnie i wykonywają wspólnie wszystkie swoje nadzwyczajne przedsięwzięcia. Piękniejsza od owego podania o Krakusie, które znacie z historii polskiej. Tam jest także taki smok drapieżny i dwaj bracia, ale przeciwnie, baśń wspomina o strasznej pomiędzy nimi niezgodzie. We wszystkich dawnych podaniach ludowych, w całej Europie, a nawet w najstarożytniejszych baśniach wschodnich, powtarzają się też same wypadki; występują w nich zwykle siłacze nadzwyczajni, czarodziejskie trzewiki, dwu, lub siedmiomilowe, kobierzec latający, czyli samolot i t. d. Dowodzi to, że wszystkie ludy europejskie miały kiedyś wspólną ojczyznę na Wschodzie, a gdy rozeszły się w różne strony świata, przechowały się w ustnych podaniach te stare bajki, które niegdyś wymyślili sobie ludzie. Były to może niekiedy jakieś zdarzenia prawdziwe, którym wyobraźnia nadała taką czarodziejską barwę. Jak małe dzieci lubią bajeczki, które im piastunki opowiadają, tak samo i ludy, nie mające jeszcze wykształcenia, wielkie mają upodobanie w baśniach i wierzą nawet bardzo często w te wszystkie czarodziejskie wypadki. Dotąd jeszcze pomiędzy ludem można spotkać takich, którzy są przekonani, że kiedyś, bardzo dawno, mogli żyć czarownicy i czarownice, i różne dziwne rzeczy wyrabiać, ale wy dobrze wiecie, że to jest dowodem braku oświaty, jeżeli ktoś może takie dziwaczne wypadki uważać za prawdziwe.

POZORY CZĘSTO MYŁĄ.

Komedyjka w jednym akcie.

PRZEZ JASKÓŁKĘ.

(Dla Brońci.)

SCENA VI.

BRONCIA i ANIELKA odeszły w głąb pokoju i rozmawiają po cichu; PANI BRZEZINIECKA sama jest przez chwilę.

PANI BRZEZINIECKA (na stronie). Ten przyjazd niespodziewany wszystkie szyki tu dzisiaj psuje; biedne moje dzieci nie będą mogły przygotować mi niespodzianki. Gdy jestem sama w domu, zamykam na wszystko oczy, ale trudno wymagać tego od gościa. W jakim ona tu celu przybywa?... Zapewne, żeby objąć w posiadanie swoje dziedzictwo! Ach, jakże mi ciężko będzie rozstawać się z Brzezińcami, z tą wioską, którą od piętnastu lat uważałam za swoją! Ten dom tak mi drogi! Tyle w nim dla mnie pamiątek! Ja tu kocham każde drzewo, każdy kwiatek, każdą piędź ziemi! I gdzie się przenieść? Do miasta?... O mnie jeszcze mniejsza... ale moje dzieci przywykły do świeżego powietrza, do zieloności, do swobody! Lecz trudno! Trzeba się zgodzić z wolą bożą i dzieciom dać przykład uległości i męstwa.

(BRONCIA i ANIELKA zbliżają się do matki. Na twarzach ich maluje się niecierpliwość i niezadowolenie.)

BRONCIA. Jak to się stało, moja mamo, że ta panna Barbara przybywa tutaj niezaproszona?

PANI BRZEZINIECKA. Wszak wiecie, że ma wszelkie do tego prawa... jako krewna i jako...

ANIELKA (przerywając). Ach, żeby choć sobie była inny dzień wybrała!

BRONCIA. To prawda!... No, nie będzie też zadowolona z naszego przyjęcia! Za to ręczę.

ANIELKA. I ja także... A co Katarzyna, to ta jej się da we znaki!

PANI BRZEZINIECKA. A to śliczne zamiary! Wstyd mi za was, moje dzieci! Wiecie przecież, że „gość w dom, to Bóg w dom“ bez względu na to, czy miły, czy nie, czy w porę, czy nie w porę przybywa...

ANIELKA. Oho, mateczko, i ja znam przy-

słowie o takim gościu: „Gość nie w porę, gorzej Tatarzyna.“

ka *mile* przyjąć *milego* gościa; to każdy potrafi. Sądzę, że moje córki nie zrobią mi wstydu, i że...



Altana lodowa w grocie Dobszyńskiej.

PANI BRZEZINIECKA. To jest pogańskie przysłowie, moje dziecko. Zresztą, nie sztu-

BRONCIA (przerywając). Ależ, moja mamo, co my tu z nią pocniemy! Pewnie ma cał-

kiem inne upodobania, inne zwyczaje, ta starowina z prowincyi.

ANIELKA. Zaręczam, że umieć mówić tylko o tém, jak się robi pięta u pończochy.

BRONCIA. I że nosi siatkowe mitenki.

PANI BRZEZINIECKA. I po co te uprzedzenia, moje dzieci! Wolałabym i ja uniknąć tych odwiedzin; ale ponieważ jest to rzecz niemożliwą, poddajmy się temu bez narzekania.

BRONCIA. Ach, mameczko, ja nie potrafię!

ANIELKA. Ani ja!

BRONCIA. Przyjmować jakąś nieznajomą, której imię przywodzi nam na pamięć przykre wspomnienia... wspomnienie twoich zmar-twień... mamunieczko!

ANIELKA. To prawda. Wszak ona sobie podobno rości jakieś pretensye do Brzezini-ec? Zabawna!

PANI BRZEZINIECKA (z westchnieniem). Zapomnijcie teraz o tém, moje dzieci. Proszę was raz jeszcze, żebyście byli dla niej uprzejme i grzeczne; to wasz obowiązek—tém większy, że ona przez swe kalectwo zasługuje na nasze współczucie i...

BRONCIA. Jakie kalectwo?

PANI BRZEZINIECKA. Czyżem wam nie mówiła?

ANIELKA. Ależ nie...

PANI BRZEZINIECKA. No, więc wiedzcież teraz, że ona jest... garbata!

BRONCIA i ANIELKA. Garbata!

ANIELKA. Jeszcze i tego brakowało.

BRONCIA. Mówią, że garbaci są bardzo złośliwi!

ANIELKA. A jacy są brzydecy i niemili!

PANI BRZEZINIECKA (surowo). Czy wiecie, dzieci, kto jest od nich brzydszy i złośliwszy? Oto ten, kto nie ma współczucia dla nieszczęśliwych; samolub, który myśli o swoich wygodach; ten, kto niechętnie przyjmuje gości i krewnego zarazem, wchodzącego w jego progi.

BRONCIA (zawstydzona). Przebac mi, mamol!

ANIELKA (podobnie). Myśmy ci, mamol, nie chciały sprawić przykrości!

PANI BRZEZINIECKA (łagodnie). Wiem o tém. To też starajcie się być uprzejme i wesołe, ponimo, że gość ten nie w porę wam przybywa...

BRONCIA (do siebie). Albo to łatwo będzie? Żeby mama o wszystkiém wiedziała!

PANI BRZEZINIECKA. A szczególnie, gdyby coś w jej ubraniu, albo w jej zachowaniu wydało się wam dziwne, proszę was, wstrzymujcie się od śmiechu.

ANIELKA (figlarnie). Dobrze, mamol; będziemy sobie prz gryzały wargi...

PANI BRZEZINIECKA. Czy słyszycie. Ktoś jakby zajechał...

SCENA VII.

TEŻ SAME. KATARZYNA wbiega prawem i drzwiami.

KATARZYNA. Już jest! Już jest!

BRONCIA. Kto taki?

KATARZYNA. Ta krewna z prowincyi... Ach, żeby panienki wiedziały, jak ona ubrana! Kapelusz ma jakby parasol od deszczu i to jeszcze... familijny! Kołnierz u okrycia ogonkami obszyty dokoła, a suknię szpinakowego koloru...

PANI BRZEZINIECKA (przerywa jej i mówi surowo). Dosyć Katarzyno!

ANIELKA (spogląda na drzwi). Ach, ma z sobą papugę!

BRONCIA. I malutkiego pieska!

KATARZYNA. No, to cała menażerya do nas przybywa. (Pani Brzezini-cka spogląda na nią surowo). Już, już nie powiem, proszę pani! (Pani Brzezini-cka postępuje naprzód, na przywitanie krewniej). Ach, gdyby to pani sędzina była widziała! Toby się dopiero śmiała do rozpuku! A do tego na plecach ma jakby poduszkę! (Śmieje się na całe gardło). Ha! ha! ha! (Ucieka nagle za wejściem pani Brzezini-ckiej). Ach, co ja też robię! Będę miała później za swoję!...

SCENA VIII.

TE SAME. PANNA BARBARA; PANI BRZEZINIECKA, prowadząca ją, wchodzi z prawej strony; BRONCIA i ANIELKA usunęły się w głąb pokoju, na lewo.

Panna Barbara jest garbata, w bardzo dziwacznym podróżnym stroju; trzyma w jednej ręce klatkę z papugą, a z drugiej strony, pod pachą, malutkiego pieska.

PANI BRZEZINIECKA. Wejdz, pani, proszę, spocznij po podróży.

PANNA BARBARA (przeciągając po litewsku). Dziękuję pani... Przybywam tu, nieproszona; wpadam niespodzianie, jak grom jaki, prawda? Ale musisz mi to pani przebaczyć. Gdzie są twoje córki?

PANI BRZEZINIECKA. Brońciu, Anielko, przybliżcie się tutaj.

(Brońcia i Anielka kłaniają się przybyłej.)

PANNA BARBARA. Jakto? One mi dygają?.. (Podchodząc ku nim.) Ależ uściskajcie mnie, wy moje duszeńki.

BRONCIA (witając się z nią). Przepraszam...

ANIELKA (witając się także). Pani..

PANNA BARBARA (przechodząc ku prawej stronie i stawiając klatkę na konsolce, spostrzega Katarzynę). A, to wasza gospośia?... Dobry dzień, dobry dzień, moje serce... (na stronie, lecz dość głośno). Przyjemna jakaś kobieta.

KATARZYNA (dygając). Witam panią! (na stronie). Ma dobry gust przynajmniej.

PANI BRZEZINIECKA. Jakób zaniósł pani rzeczy do gościnnego pokoju; pozwól pani sobie dopomódz...

PANNA BARBARA. Nie chcesz pani, żebym dźwigała pieska! (Pani Brzezinińska zbliża się do panny Barbary i bierze od niej pieska). Pewnie się wam to wydaje śmiesznem, gdy kto podróżuje z całą menażeryą; ale w osamotnieniu radzi otaczamy się choćby i zwierzętami, w braku ludzi! (Widząc, że Brońcia i Anielka odwracają się, aby śmiech ukryć). Dziewczątka śmieją się z tego! Jakie to wesołe kotenki!...

PANI BRZEZINIECKA. Nie sądź pani...

PANNA BARBARA. O! pani, nie staraj się ich usprawiedliwiać, bo one nie nie zawiniły. Pojmuję, że przyjaźń moja dla Wiernusia może się komu wydawać śmieszną... Lubię go, choć nie jest ładny—bo ma wielkie przymioty. Wdzięczny jest za to, co mu kto świadczy dobrego, nie spostrzega mojego kalectwa i nie wyśmiewa się ze mnie... A nie wszyscy ludzie bywają tak pobłażliwi...

(Brońcia i Anielka okazują pewne zakłopotanie.)

PANI BRZEZINIECKA. Chcesz, pani, żeby Katarzyna zabrała i klatkę z sobą?

PANNA BARBARA. Nie; wolę, żeby tu moja Sprzyka pozostała; jest bowiem taka nieznośna, że nie powinnam narzucać jej nikomu.

KATARZYNA. Pani jest dla niej za surowa.

Papugi, to takie miłe stworzenia! Moja babka dostała po swojej pani w testamencie prześliczną papugę, a tak rozmowną, że za dzieść osób gadała... Wychowałam się z nią razem, naprawdę.

PANNA BARBARA. I zdaje się, żeś skorzystała w tem towarzystwie.

KATARZYNA (dygając). Ach, jaka pani łaskawa! Zobaczysz pani, jak my się sobie nadamy z tą papugą... (Do papugi). Nieprawdaż, moja Sprzyko?... Dzień dobry, Sprzyko! Czy ty znasz mnie, Sprzyko?

PAPUGA (bardzo głośno i z naciskiem *). Gadula!...

KATARZYNA. Co takiego?...

(Wszyscy się śmieją.)

PANNA BARBARA. I ty się jeszcze pytasz, czy ona cię zna!

PANI BRZEZINIECKA. Pokój dla naszego gościa jest gotowy. Może się pani zechcesz przebrać lub odpocząć...

PANNA BARBARA. I owszem. (Do Brońci i Anielki). Do widzenia duszeńki, do widzenia.

BRONCIA i ANIELKA. Żegnamy panią.

PANNA BARBARA. Jakto, *panią*? Chcecież mnie więc uważać za oboję? Nazywajcież mnie Ciocią Basią...

KATARZYNA (wskazuje drzwi na prawo). Tędy, proszę pani.

(W chwili gdy panna Barbara przechodzi koło Katarzyny, papuga, którą trzyma w ręku, woła: *Gadula!*)

PANNA BARBARA (do papugi). Czy ty będziesz cicho, Sprzyczeńko?... A któż to jest taki niegrzeczny w gościnie! (Wychodzi prawem drzwiami z panią Brzezinińską.)

SCENA IX.

BRONCIA, ANIELKA, KATARZYNA.

KATARZYNA (na stronie). To dopiero zuchwale ptaszysko! Nie daje ono dobrego wyobrażenia o tych, co je wychowali.

(BRONCIA i ANIELKA stoją naprzeciw siebie, spoglądając jedna na drugą.)

BRONCIA. I cóż?

ANIELKA. Już wiemy teraz, co to jest krewna z prowincyi.

*) Ktoś za sceną powinien udawać papugę, która na scenie może być wypchana.

KATARZYNA. A co, czyżem przesadziła, mówiąc o jej ubiorze?

BRONCIA. Pyszny strój maskaradowy!

ANIELKA. Gdybyśmy z nią poszły przez wieś, wszyscyby się na nas gapili.... a cóż dopiero w mieście!

KATARZYNA. A co to będzie kłopotu z tym pieskiem i z tą papugą! Szczególniej z papugą.... To tak źle wychowane stworzenie! Bez żadnych zasad.

BRONCIA. Już teraz wszystko się w domu przewróci do góry nogami! Niepodobna będzie czytać wieczorem!

ANIELKA. Ani jeździć konno!

BRONCIA. Panna Barbara musi niecierpieć książek...

ANIELKA. I... strojów...

BRONCIA. A do tego wszystkiego zabrała nam tyle czasu, żeśmy nie mogły skończyć naszych przygotowań...

ANIELKA. Jam jeszcze nie ubrana!

BRONCIA. A moje wiersze! Nie z nich już nie będzie!

KATARZYNA. A moje leguminy! Jeszczem się do nich nie zabrała nawet!

ANIELKA. Cóż to za nieszczęście mieć stare krewnie z prowincyi!

KATARZYNA. O wilku mowa, a wilk tu!...

ANIELKA. Ty żartujesz, żeby nas przestraszyć...

BRONCIA. Ja uciekam! (wychodzi lewymi drzwiami).

SCENA X.

TEŻ SAME. PANNA BARBARA wchodzi bez kapelusza i okrycia; ma na sobie ciemną, gładką suknię i biały czepeczek.

PANNA BARBARA (trzymając w ręku szkatułkę). Nie lękajcie się, moje duszeńki, nie przychodzę wam przeszkadzać; przeciwnie, pragnę wam dopomódz.... (Stawia szkatułkę na konsolce, po prawej stronie).

ANIELKA. Dopomódz nam?

KATARZYNA. W jaki sposób?

PANNA BARBARA. Jakób powiedział mi w drodze, że to dziś imieniny pani Brzezińskiej....

ANIELKA (oglądając się dookoła) Cicho!

KATARZYNA. Paniby mogła usłyszeć!

PANNA BARBARA. Nie lękajcie się! Wie-

działam, że jej obecność stoi wam na zawadzie, to też namówiłam ją, żeby się przejechała...

ANIELKA. Jakto?

PANNA BARBARA. Zostawiłam na stacyi pakuneczek i powiedziałam jej, że o niego niespokojna i że mi bardzo potrzebny. Taka dobra, że sama po niego pojechała.

ANIELKA. Więc jesteśmy same w domu?

PANNA BARBARA. Tak, ale korzystajmy z tego, nie tracąc ani chwili. (do Katarzyny) Ty, moja gosposienko, powróć-że do swego gospodarstwa; widziałam ja tam przechodząc, że się na jakieś dobre rzeczy zanosili...

KATARZYNA. Pani jesteś bardzo łaskawa, ale i ja sama mogę zaręczyć, że niktby mnie w pieczeniu ciast i przyrządzaniu przysmaczków nie przewyższył. Umieć robić pasztety, galarety, kremy... jedna rzecz mi się tylko nie zawsze udaje, to jest *bujająca wyspa*.

PANNA BARBARA. *Bujająca wyspa!*.... angielska legumina! Ależ ja mam przepis na nią, według którego zawsze się udaje.

KATARZYNA. (żywo) Czy to być może?

PANNA BARBARA. Napiszę ci go natychmiast i rękę za powodzenie.

KATARZYNA. Ach, panno Barbaro! Jakżem ja pani wdzięczna! (Do Anielki cicho) Widzi pannenka, ona nie taka ograniczona, jakeśmy myślały!

ANIELKA. (na stronie) W tym tylko, co się tyczy kuchni...

PANNA BARBARA. (pisząc przy biurku) A tobie, Anieleczko, brak podobno czegoś do stroju? Mówił mi Jakób, że klucz od kuferka jest u mamy, a liczyłaś na to, co w kuferku...

ANIELKA. Jakto? Pani to wiesz?...

PANNA BARBARA. Mam szczęściem z sobą kilka sznurków pereł, to będzie najstosowniejszy strój, czy na głowę, czy też na szyję.

ANIELKA. (zbliżając się szybko) Perły!

PANNA BARBARA. Może ci się przydadzą duszeńko.. (Dając przepis Katarzynie) Oto masz Kasieńko...

KATARZYNA. Dziękuję Pani. Ach, żeby mi się tylko udało!

PANNA BARBARA. To nie trudno, trzeba tylko trochę zręczności i.... dużo świeżych jajek.

(Katarzyna wychodzi prawymi drzwiami).

ANIELCIA. (która otworzyła szkatułkę) Ależ to przesłiczny naszyjnik!

PANNA BARBARA. Podoba ci się serdenko? No, to niech ci służy na teraz i na później.

ANIELKA. Co pani mówi? Ależ jabym nie chciała...

PANNA BARBARA. Ale ja chcę, a wiedz, że staręj ciotence należy być posłuszną.

ANIELKA. (bełkocąc) Ależ ja... Cio... ci... niemogę pozbawić...

PANNA BARBARA. Balowego stroju? Więc ja ci się wydaję w sam raz do tańca?

ANIELKA. Te perły takie śliczne!

PANNA BARBARA. To też szkoda je trzymać w szkatulce; i dla tego będziesz je nosiła, duszenko.

ANIELKA. Ale czemże ja zasłużyłam...

PANNA BARBARA. Na to, żebym cię kochała? Czyż nie jesteśmy krewne? Czy to nie dość, moje serce? Czy za nic uważasz te związki rodzinne, które powinny być źródłem słodyczy na tej ziemi? Rodzina — to jakby ojczyzna w ojczyźnie; krewni — to jakby cząstka nas samych!

ANIELKA. (wzruszona) Ach, moja ciociu, nigdy się nie zastanowiła nad tem, co ciocia teraz powiedziała!

PANNA BARBARA. (z uśmiechem) Ale kiedy ci to trafiło do przekonania, przyjmiesz ten naszyjnik, wszak prawda, kotenko?

ANIELKA. Nie wiem istotnie, jak cioci za to podziękować!

PANNA BARBARA. Ustrój się weń... to będzie najlepsze podziękowanie.

ANIELKA. (całując p. Barbarę) Ciocia za dobra!

PANNA BARBARA. To też trzeba mnie będzie bardzo kochać...

ANIELKA. Ja ciocię już kocham!

PANNA BARBARA. Czyż tak? Ale idźże się ubrać, nim mama powróci.

ANIELKA. Biegnę. (Spogląda radośnie na naszyjnik) Ach, cóż to za przesłiczne perły! (Śoiska jeszcze pannę Barbarę) O! jak to dobrze, że ciocia tu przyjechała!

SCENA XI.

PANNA BARBARA SAMA.

Biedna dziewczyna! Przyjazd mój przeląkł ją zrazu..... I nie dziwi się temu. Garbata

staruszka nie może mieć nic pociągającego na pozór; to też hywa przyjmowana jak gorzkie lekarstwo.... z krzywą minką.... Ale... ktoś biegnie (nasłuchuje).

SCENA XII.

(Wbiega ZYGMUŚ zgrzany, zadyszany, z widoczką i ołówkiem w rękę, ujrawszy pannę Barbarę zatrzymuje się nagle).

PANNA BARBARA. (z dobrocią) Pójdź tu mój mały, niechaj cię powitam; jeszcze się nie znamy.

ZYGMUŚ. (zbliża się niechętnie) Przepraszam, myślałem, że pani jest w żółtym pokoju.

PANNA BARBARA. Nie, *pani*, ale *ciocia*.... ciocia Basia (całując go w czoło).

ZYGMUŚ. (zachmurzony) Nie wiem, gdzie się one podziały (chce uciec).

PANNA BARBARA. (wstrzymując go) Pytasz o siostrzyczki, kotenku? One bardzo zajęte... Coś przygotowują dla mamy na więzanie.

ZYGMUŚ. (z westchnieniem) A o mnie to nie myślą.

PANNA BARBARA. Co ty masz w rękę, serdenko?

ZYGMUŚ. (chowa papier po za siebie) To... nic...

PANNA BARBARA. Nie kryj się przedemną... Ja nie taka straszna jak się wydaje. Pokaż, duszenko (przemocą wyjmując mu kartki z ręki) A... to widoczek z Brzezinec... Pewnie dla mamy na więzanie? Czy tak? wszak zgadłam?

ZYGMUŚ (z dąsem). Tak... ale na nic, bo splamiony... Nasz Bryś nieżnośny położył na nim zabłoconą łapę...

PANNA BARBARA. Chciał ci dopomódz rysować, ale mu się nie udało... Nie trzeba się gniewać na niego... Miał dobre chęci .. więcej dobrych chęci niż talentu... to i u ludzi się często zdarza...

ZYGMUŚ. Myślałem, że tu znajdę Bronię i że ona mi na to coś poradzi... Plamę wytarłem jak mogłem, ale trzebaby tu na nią coś wyrysować, a ja niewiem co i nie umiem.

PANNA BARBARA. Dajże mi ołówek... spróbujemy. (Kładzie kartkę na biurku i siada). Jak twój Bryś wygląda?

ZYGMUŚ (zadziwiony pytaniem). Duży, czarny i kudłaty... o!... (wskazuje na okno) on tam leży na trawniku...

PANNA BARBARA (podnosząc się i przypatrując psu). Oczekaj, posadźmy tu za karę tego winowajcę. (Rysuje).

Chwila milczenia. PANNA BARBARA podnosi się znowu, spogląda w okno, potem siada i rysuje. ZYGMUŚ przypatruje się uważnie. Twarzyczka jego rozjaśnia się stopniowo.

PANNA BARBARA (oddając Zygmuśowi widocek). No, teraz już nie znać, że tu była plama.

ZYGMUŚ, (klaszcząc w ręce). Ach, jaki Bryś! Jaki doskonały! Jak żywy! Niktby nie zgadł, że tu wycierał gumą! A jak się maina ucieszy! Bo mama bardzo lubi Brysia i my wszyscy go lubimy!

PANNA BARBARA. Miło mi, że cię wyba-wiła z kiopotu.

ZYGMUŚ (żywo i wesolo). I z jakiego jeszcze! Ach, jak to dobrze, że... pa...ni...że... cio...cia... tu przyjechała!

PANNA BARBARA (śmiejąc się serdecznie). Więc już nie wydaję ci się taką straszną, jak z początku?

ZYGMUŚ (całując ją w rękę). Cio... cia... jest dobra... to nie może być straszną.

PANNA BARBARA (z przymileniem). Więc mnie będziesz choć trochę lubił, mój Zygmu-sienku?... bo wszak ci Zygmuś na imię?

ZYGMUŚ. Tak... ja Brysia lubię choć mi szkodę zrobił, a jakżeby nie lubił kogoś, co mi tę szkodę naprawił? Muszę się z tém pochwalić przed Brońcią i Anielką. Moje wiązanie będzie najładniejsze! (Podnosi tryum-falnie widoczek w górę i ucieka).

SCENA XIII.

PANNA BARBARA (sama). Już drugie ser-ce zdobyte! Pocciwy chłopczyna, taki otwar-ty! Prawdziwe dziecko! (Spogląda ku nieco u-chylonym drzwiom z prawej strony). Ale oto i dru-ga dziewczeczka nadchodzi... Jakaś zamyślona. Pewnie układa powinszowanie dla matki.

SCENA XIV.

BRONCIA wchodzi z książką i świstkiem w ręku.

BRONCIA, (nie widząc panny Barbary). Jakem utknęła, tak stoję na miejscu. Ten ostatni wiersz jest nieprzewidzianie trudny!..

PANNA BARBARA (przybliżając się do niej). A czy można przeczytać początkowe?

BRONCIA (obracając się). To pani!.. (Chowa świstek do książki).

PANNA BARBARA. Nie chowaj, nie cho-waj, duszeńko... Wiem, że masz słabość do wierszy.

BRONCIA. Ja?...

PANNA BARBARA. Widziałam już kiedyś wierszyki twoje, napisane dla ś. p. twego stryja... (d. c. n.)

KALENDARZYK.

Dnia 30 Kwietnia 1310 r. w Kujawskim miasteczku, Kowalu, z ojca Władysława Ło-kietka i Jadwigi kaliskiej księżniczki, przy-szedł na świat Kazimierz Wielki. We dwa-dziesięcia trzy lat później (r. 1333) w tymże samym miesiącu, d. 25 Kwietnia wraz z żo-ną, Anną Gedyminówną koronowany był w Krakowie przez Janisława biskupa. W Kwietniu również założył pierwsze fun-damenta akademii we wsi Bawół pod Kra-kowem, o czém tak wspomina kronikarz Bielski: „Posłał król Kazimierz do Urbana V Papieża, prosząc go o arcybiskupa Lwow-skiego na Rusi, co łatwo otrzymał, również jak i listy na założenie akademii, którą począł budować, lecz niedokonczywszy jej, umarł, a Władysław Jagiełło inną w Krakowie zbu-dował.“

ROZMAITOŚCI.

Roślina starożytna. Słyszeliście zapewne, młodzi czytelnicy, że nieraz w naszych cza-sach odnajdują rozmaite starożytne zabytki, od wieków pod ziemią zagrzebane, takie jak broń, narzędzia, szczątki budynków, a nawet całe gmachy, które spoczywały w głębi ziemi zupełnie zapomniane. Ale nie przyszło wam na myśl zapewne, że można takim samym sposobem odgrzebać nieznaną już dziś i za-pomnianą starożytną roślinę, a jednak takie dziwne zdarzenie rzeczywiście niedawno się przytrafiło. U stóp gór Lauryjskich w Gre-cyi leżały od czasów niepamiętnych ogromne kupy żużli; tak nazywają resztki pozostałe od oczyszczania i przetapiania metali. W gó-rach Lauryjskich były niegdyś kopalnie sre-bra. Otóż przed kilku laty pewien uczony,

oglądając te żużle, spostrzegł, że nie były należycie oczyszczone, gdyż starożytni nie znali jeszcze takich doskonałych sposobów, jakie są dziś w użyciu. Można więc było z tych odrzuconych resztek wydobyć znaczną ilość metalu i przemysłni ludzie zaraz się do tego zabrali. Ogromne nagromadzenia żużli wkrótce zostały uprzątnięte i o dziwo! na gruncie odgrzebanym tym sposobem pojawiła się osobliwa roślina, której żółte kwiateczki nieznane były w całej okolicy, a nawet, jak się botanicy przekonali, nigdzie na całym świecie nie rosły za naszych czasów. Ale za to w starożytnych pismach greckich także sama roślina, o takich żółtych kwiateczkach, opisana jest bardzo dokładnie; widocznie więc znali ją dobrze botanicy dawniejsi, później jednak, nie wiadomo z jakich powodów, znikła z powierzchni ziemi i zapomniano o niej zupełnie. Tymczasem nasionka przechowały się i od kilkunastu wieków drzemały w ukryciu pod owymi stosami żużli. Jak tylko ziemia rodzajna została oswobodzona, wystawiona na przystęp powietrza, zaraz nasionka przebudziły się do życia, zaczęły kiełkować i wydały nowe kwiaty i nasiona. Mamy w tém dowód oczywisty, jaką zadziwiającą trwałość posiadają nasiona roślinne, kiedy przez czas tak długi zachowały własność kiełkowania, będąc zabezpieczone od gnicia i próchnienia. Już dawniej zdarzało się, że nasiona zbożowe, znajdujące razem z mumiami w grobach egipskich, zasiane w ziemię, wschodziły wybornie i wyrastały, ale nie wszyscy temu dowierzali, że ziarno przez czas tak długi się przechowywało; przypuszczano, że i później mogło się dostać do tych grobów. Inaczej się rzecz ma z roślinką gór Lauryjskich, bo nasiona jej nie mogą z nowszych czasów pochodzić, ponieważ botanicy podobnych kwiatów nigdzie nie znajdowali, a tylko w dawniejszych opisach pozostała o nich wiadomość. Starożytna ta roślina, dziś odrodzona na nowo, podobna jest do naszego pospolitego jaskółczego ziela, i tak jak ono należy do rodziny makowatych.

Zagadka historyczna.

Piękna była jak anioł i dobra jak anioł. Z obcej ziemi przybyła do kraju, na który przez nią spłynęło wiele pomyslności i chwały. Czterech książąt ubiegało się o jej rękę; ona wybrała tego, którego najwyższém dobrem mogła obdarzyć. Miłosierne wyrazy, przez nią wymówione, przechowały się w podaniu dziejowém. W potrzebie kraju umiała wystąpić z męstwem rycerskiém. Nie zaznała szczęścia na ziemi, chwila, w której spełniło się jej najgorętsze pragnienie, stała się zarazem chwilą jej śmierci. Zgadnijcie jej imię?

Łamigłówka kwadracikowa.

W kwadraciku, złożonym z 16 podziałek ułożyć następujące litery: 6 A, 1 K, 2 M, 1 N, 2 O, 2 R, 2 T, ażeby utworzyć w poziomym i pionowym kierunku wyrazy, które oznaczają:

1. Wymiar sprawiedliwości.
2. Coś bardzo drobnego.
3. Oddział żołnierzy.
4. Imię biblijne.

Z a g a d k a.

Wstecz się nie cofa, bardzo szybko leci,
Póki go macie, korzystajcie dzieci.
Bo kiedy minie, choćby i w sto koni
Chciał pędzić za nim, już go nie dogoni.

Józef z nad Drwęcy.

M e t a g r a m.

Mam cztery litery i jestem zielona,
To zbożem okryta, to kwieciami upstrzona;
Gdy zmienisz mą pierwszą—niech w każ-
[dój potrzebie
Przyjaciół ją chętnie wyciągnie do ciebie;
Zmień znowu tę samą—zwierz wielki to
[będzie
Co nosi przy sobie muzyczne narzędzie.
Jaskółka.

Rozwiązania do N-ru 14.

Łamigłówki zgłoszkowej:

Woda.
Anioł.
Rebus.
Skoki.
Zdzisław.
Ataman.
Wrona.
Ananas.

Szarady: Rysunek.

Zagadki homonimu.

Plug, narzędzie rolnicze.

Plug (Adam) autor.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Mani Gr. Nie mogliśmy tego uważać za niegrzeczność, że rozwiązanie zagadki nadesłane zostało przez osobę starszą; upominaliśmy się tylko o liścik własnoręczny, bo takie nam największą sprawiają przyjemność, a napisanie porządnego liściku jest zawsze dla dzieci korzystne. Za ten, któryśmy teraz odebrali, bardzo a bardzo dziękujemy. Wszystkie rozwiązania są zupełnie trafne. Ażeby zrozumieć, jak się układają i odpadają łamigłówki kryształowe, lub głoskowe, należy obejrzyć uważnie rozwiązanie jednej z tych, które poprzednio były zamieszczone.

Jankowi Kw. Łamigłówki wszystkie będą drukowane, bo są obmyślane dowcipnie i napisane bardzo porządnie. Stałe współpracownictwo i nadal sobie zamawiamy. Za dłuższy liścik należy się dłuższą odpowiedź. Każdy, kto był w górach, musi je polubić. Może też niejedną z innych naszych czytelników będzie miał sposobność pojechać także do Zakopanego, a wówczas przypominając sobie *Przygody Kasia*, już naprzód będzie miał wyobrażenie o tem wszystkim, co tam zobaczy w tych pięknych okolicach.

Włodzowi Tal. Wszystkim korespondentom naszym odpowiadamy z największą przyjemnością, prosimy tylko o cierpliwość, bo najczęściej liściki nadchodzą, kiedy Pismo jest już na prasie, a druk musi być wcześniej rozpoczęty, żeby czytelnicy zawsze w porę odbierali *Wieczory*. Rozwiązanie łamigłówek trafne i co więcej, porządnie bardzo napisane.

Zosi i Ani R. Liścik śliczną kaligrafią napisany ucieszył nas niezmiernie. Przytem i łamigłówki trafnie rozwiązane, bo w kryształowej mała zmiana wyrazów niema żadnego znaczenia, byle właściwa liczba liter była zachowana i środkowe litery pozostały niezmienione. W pierwszych dwóch miesiącach w Pismku naszym powiastki, komedyjki, łamigłówki i t. d. zajmowały tylko 12 stronice, cztery stronice przeznaczaliśmy na *historję*; teraz zapełniamy 16 stronice rozmaitemi zajmującami rzeczami, a *historję* drukujemy w osobnym dodatku bezpłatnym. Czyż to nie jest niespodzianka i czy nasi czytelnicy nie są zadowoleni?

Edmundowi K. w gub. Wileński. Łamigłówka byłaby dobra, ale środkowy wyraz nie dość zręcznie dobrany i nie zbyt przyjemnie brzmiący. Można by to jednak zmienić.

Wandzi K. w gub. Wileński. Łamigłówka bardzo dobra i będzie drukowana niezadługo. Łaskawi nasi korespondenci nadsyłają nam mnóstwo wybornych zagadek, za co jesteśmy nieskończenie wdzięczni i radzibyśmy wszystkie pomieścić jak najspieszniej, musimy jednak prosić o cierpliwość, bo nie można podawać więcej nad oznaczoną liczbę w każdym N-rze Pisma.

Ludkowi T. Otrzymaliśmy łamigłówkę, która jest bardzo dobrze ułożona i wielką nam przyjemność sprawiła, nie możemy jej jednak wydrukować.... Rozwiązania są trafne.

A. O. w Łęczycy. Komedyjkę drugą już w tym roku podajemy, a mamy ich jeszcze kilka w zapasie. Nie mogliśmy jednak wyrozumieć z listu, czy idzie o komedyjkę dziecienną, czy też o taką, którą grać mają starsi na amatorskiem przedstawieniu. Ośmioletniemu braciszкови przesyłamy ukłony i prosimy bardzo, żeby sam do nas napisał. Łamigłówka zgłoszkowa jest bardzo dobra, kryształowa także, tylko drugi wyraz ma o dwie litery za wiele, ale my to już sami przerobimy i obie wydrukujemy.

Pani Leopoldzie Z. w Wodyczkach. Dział religijno-moralny, jak Pani zauważyła sama, systematycznie jest w Pismie naszym prowadzony; rozszerzać go więc nad miarę nie możemy z uszczerbkiem innych działów. Rękopis Pani jest do zwrotu. Odsyłanie rękopisów nie przyjętych jest zbyt uciążliwe dla Redakcyi.

Pani Z. w Macoszynie. Do niniejszego N-ru *Wieczorów* dołączony już jest dalszy ciąg *historji* i odtąd stale przesyłany będzie wszystkim prenumeratom, jako bezpłatny dodatek. Druk *historji* z powodów od nas niezależnych, był wstrzymany; przez ten czas jednak każdy N-r Pisma naszego zawierał tak jak zwykle 16 stronice, zapełnionych drukiem, nie mogły więc żadne odcinki u nas pozostawać.

Tadziowi Skrz. w Odessie. Łamigłówki wybornie odgadnięte. Cieszymy się, że *Wieczory* z upodobaniem są czytane i prosimy o dłuższy liścik.

Maryl Z. w Niemirowie. Wzory rysunków będą i w dalszym ciągu zamieszczane od czasu do czasu. Mamy także przygotowane na później wzory do rysowania twarzy. Za łamigłówki dziękujemy; z czasem wszystkie będą zamieszczone.

Pani Modeste Kł. w Zamszanach. Do nauki rysunku bez nauczyciela możemy polecić dzieło francuzkie, bardzo przystępne, a jednak systematyczne, pod tyt.: *Histoire d'un dessinateur par Viollet-le-Duc*. Wkrótce zaczniemy podawać wiadomości o książkach dla młodego wieku. Pismo nasze nie miało jeszcze czasu rozwinąć wszystkich działów, jakie w niem przeprowadzić zamierzamy. Dziękujemy bardzo za wyrazy współczucia. Nie odmawiamy nigdy objaśnień lub rad prenumeratom, którzy nas zaufaniem swoim zaszczycają. Na inne zapytania Pani odpowiemy wkrótce, zasięgnąwszy stosownych informacji.

Ogłoszenie.

Dla prenumeratów *Wieczorów Rodzinnych* są do nabycia w Redakcyi *Pogadanki Naukowe* przez *Autorkę Wieczorów Czwartkowych*. Za cenę niższą 30 kop., z przesyłką pocztową 40 kop.

Treść.—Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleski (dokończenie). — Lzy nieużyteczne wiersz.—Marcin Wadowita.—Dom sierot.—Stara baśń o Waligórze i Wyrwidębie.—Pozory często mylą, komedyjka w 1-ym akcie, przez Jaskółkę.—Kalendarzyk.—Rozmaitości.—Zagadka historyczna.—Łamigłówki i rozwiązania.—W Dodatku d. c. *historji biblijnej* Zajączkowskiej.